

wie chodząc przez wiele lat do szkół jeżeli co umieli, to chyba mówić po niemiecku i na tem koniec. Rolnik, rzemieślnik, przemysłowiec musiał w szkole zamiast rzeczy potrzebnych do jego zatrudnienia w praktycznem życiu, uczyć się po niemiecku. Chciano z naszych dzieci porobić Niemców. A wcale jeszcze nie dawno trzymano się tej zasady. Dopiero klęski pod Solferino pozwoliły nam trochę wolniej odetchnąć.

Najbardziej dokuczliwą była germanizacya na prowincyi. W obwodowym mieście, gdzie Jaśko do szkoły chodził, były stosunki tego rodzaju bardzo cierpkie. Uczniowie prześladowani za to, że się urodzili Polakami, nie raz płatali figle cywilizatorom, ale z tej walki nierównej zawsze źle wychodzili. Bauch profesor Jasia posuwał się najdalej w gorliwości służbowej. Miał zwyczaj uczniów śledzić, czy się przypadkiem który nie uczy polskiej historii, lub nie czyta polskich zakazanych książek. Zakazaną książką była każda z dziś najbardziej rozpowszechnionych. Dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, powieści Czajkowskiego: to były rzeczy bardzo niebezpieczne podług mniemania ówczesnego. Pieśni Janusza, groziły także niebezpieczeństwem, bo były zakazane. Ale jak to zawsze bywa że zakazany owoc ma jakiś urok, tak i w szkole obiegały wiersze i książki zakazane pod wielkim sekretem. Młodzież po kątach czytywała najlepsze dzieła polskie, nawet uważała to i słusznie za obowiązek narodowy. Czasem który uczeń wyuczył się na pamięć jaką deklamacyę i w szkole wygłaszał kolegom.

Było to w październiku. Ranek chłodny, ale pogodny, może ostatni w jesieni. Na trawkach i po dachach widać szron śrebrzysty. Słońce ledwie się z ziemi podniosło. W mieście ruch się rozpoczął, a z dachu szkolnego ozwał się dzwonek. Uczniowie spieszą jak mrówki z różnych stron, gromadki wesołe gwarne. Między innymi widać zwawego chłopczyka w żałobie, to Jaśko. Cała klasa go lubi, po drodze kupią się w około niego i żartują. Za grupką uczniów nadszedł profesor Bauch. Jedyłą jego umiejętnością, był niewyczerpany zasób głupst i przekleństw niemieckich, któremi obsypywał uczniów, a jedyną zasługą u góry, była nienawiść wszystkiego co nie niemieckie. Szybko zbliżył się do chłopców i zawołał po niemiecku, bo po polsku ani pół słówka nie rozumiał.

— Kawka chodź tu! — Jaśko zbliżył się do niego i zdjął czapeczkę na przywitanie. — Słuchaj mówił Bauch dalej. Ja ci mówię, że ty szkół nie ukończysz, zawsze coś buntujesz.

— Ja nie buntuję nikogo.

— Jakto nie buntujesz, a dla czegoż takie gromady zawiesz za tobą chodzą.

— Bo mię koledzy kochają.

— Staraj się lepiej abyśmy ciebie kochali, bo pamiętaj, że źle skończysz.

— Ja się uczę pilnie i na nagane nie zasługuję.

— Idź do szkoły wrzasnął Bauch, a postąpiwszy za chłopcami wołał: nie idźcie gromadą, lamparty!

— A to kuternoga! szepnął któryś w gromadce.

— Czego chce u nas ten krzywonos! powiedział drugi.

— Hi! hi! hi! zawtórowali w koło uczniowie i znikli we drzwiach gmachu gimnazjalnego. Bauch wściekły wpadł za nimi, ale już każdy był w klasie. Zły dobył z zielonego wytartego długiego surduta okrągłą tabakierę i wpakował

z pół łuta do ogromnego zakrzywionego nosa. Resztki tabaki posypały się po ogolonych wargach i zostały na sterczącej brodzie. *Lumpen und Wagarunden!* Wycedził przez zęby tabakierkę wsuwając w obszerną kieszeń, z której wyjechał z nowym naborem. Wyciągnął ogromną kolorową chustkę, rozwinął ją, jak banderę niemieckiej cywilizacyi w *berenlandzie* i przyłożywszy do nosa zatrąbił głośno, jak na polowaniu. Właśnie w tej chwili przechodził po pod gimnazjum kacylista z urzędu obwodowego, a za nim biały nieodstępny pudel. Głośne siąkanie pana profesora obito się najpierwej o uszy pudła, a biorąc ten głos za trąbkę myśliwską, zaszczekał radośnie. Trąbienie pana Bauchy powtórzyło się, echem rozchodziło się po korytarzach i teraz uderzyło także potężne słuchy kancylisty. Zwrócił się poznawszy po trąbie czyli po odgłosie nosa swego ziomka *aus drausen* i wszedł na kurytarz. Kancylista był chudy spiczasty Niemczyk, także wygolony jak i p. Bauah, z króciutko ostrzyżoną główką w krótkim watowanym surduciku szaraczkowym i w wąziutkich pantalonikach w kratki poddartych do góry, widać oszczędnie przykrojonych; na głowie *antsmica*. Małe oczka przymrówywszy zbliżał się szybko cieniutkimi nóżkami do Bauchy i wyciągnął chudą długą łapkę na powitanie. Bauch podał mu łapę niedźwiedzia, bo średniego wzrostu korpus profesorski kończył się niezmiernie dużymi rękami i ogromnymi nogami.

— *Wi gets kolega!*

— *Serwus bruder!* odpowiedział przybyły kancylista Kane, coż tu u was słyhać profesorze Bauchu?

— To niepoprawny naród tych Polaków. Wyobraź sobie takie małe chłopcy, co to ledwie do szkoły chodzić zaczyna! — Z żadnego nic dobrego nie będzie.

— Cóż się stało?

— Same lamparty, same lamparty!

— Tak, tak, potwierdzał Kane.

— A ten Kawka z piątej klasy, temu widocznie coś złego z oczu patrzy. Młody chłopiec, ale jak się na mnie popatrzy swoim czarnem okiem, to się ja, wobraż sobie, ja go się boje.

— Kiedy tak to go wypędźcie ze szkoły. To pewnie ten co mieszka u ślusarza Mateusza? O ja mu nie daruję. Wiesz kiedyś tu wieczór opadł mię pies Mateusza, czarne duże psisko. Ja się tam wprawdzie niczego w świecie nie boje, ale przecie pomyśl sobie to ogromny pies, i mógłby człowieka pokaleczyć.

— Nu! nu, mógłby pokaleczyć! powtórzył Bauch.

— Pies mało mię nie zjadł, a ten szelma Mateusz, ani się nie popatrzył, że na mnie jego pies napadł i mało brakowało, a byłby mię pokasał. O panie Jezu! jak to ciężko człowiekowi w tej przeklętej Galicyi, a nas w Niemczech inaczej.

— Polskie gospodarstwo.

— A ten wasz Kawka będzie taki, jak jego gospodarz. Wiesz bracie ile razy przechodzi koło mnie ten obwieś, zawsze coś powie po polsku i plunie mi pod nogi. U niego mieszka ten Kawka pewnie taki sam będzie.

— Niebezpieczne indywiduum, ale mu nic zrobić nie można, bo swoją rzecz rozumie. Mówię ci, tak ci mówi po niemiecku, jak gdyby nigdy nie był Polakiem.